

**BEATA
SADOWSKA**

Dziennikarka,
podróżniczka,
biegaczka,
mama Tytusa
i Kosmy. Kocha
swoje dzieci
i zwierzęta.
Stara się żyć
tak, by nikomu
nie szkodzić.



Dam radę!

*Stabość i siła
siedzą w głowie*

Maraton w Nowym Jorku. Pada deszcz, od dziesiątego kilometra boli mnie kręgosłup, bo nie doszłam jeszcze do siebie po urodzeniu synka. Miałycie kiedyś sen, że chcecie uciekać i nie jesteście w stanie ruszyć z miejsca? Wtedy, w Nowym Jorku, miałam wrażenie, że sen się ziścił.

Zamiast biec, szurałam nogami po asfalcie. I płakać mi się chciało na myśl, że przede mną 42 kilometry do pokonania. Tysiące myśli i wyrzutów do samej siebie. Po co mi to?! Czy ja nie mogę ćwiczyć jogi?! Albo leżeć na kanapie?! Nie mam siły, chcę odpocząć, ale jak zacznę iść, to już nie poderwę się do biegu. Może zejść z trasy? Kto mi każe biec? Deszcz, lży, wszystko razem. Boże, to dopiero połowa dystansu! Nie dam rady... I właśnie wtedy zobaczyłam przed sobą grupę w odbłaskowych kamizelkach. Wolontariusze. Ochroniają niepełnosprawnego biegacza albo są przewodnikami niewidomego maratończyka. Podbiegam. Pomiędzy nimi jedzie mężczyzna na wózku. Jest zgięty w pół, ustawiony tyłem do kierunku biegu i odpycha się lewą stopą, bo tylko tak jest w stanie się poruszać. Wolon-

tariusze mu nie pomagają. On sam, w swojej chorobie pokonuje królewski dystans: 42 kilometry! Zrobiło mi się głupio. Zrobiło mi się wstyd. Ja zdrowa, młoda, silna versus ten człowiek. Ja na dwóch nogach versus jedna stopa. Tej chwili nie zapomnę do końca życia... I tego poczucia, że nie mam prawa narzekać. Ten mężczyzna spokojnie i godnie pokonujący kolejne kilometry pokazał mi, że niepełnosprawność jest w głowie. Siła też. Jak na komendę przestałam się nad sobą użalać. Wyprostowałam się i otarłam lży. Ja mam czelność mówić, że nie dam rady? Dam! Pobiegłam do przodu. Po chwili okazało się, że mile pomyliły mi się z kilometrami i do mety zostało już tylko osiem kilometrów. Ostatnie dwa kilometry to już była nagroda. Niesamowity doping w Central Parku, który niósł jak na skrzydłach. Czyli można! Obraz tamtego mężczyzny wraca do mnie w trudnych momentach – przypominam sobie, jaka siła drzemie w głowie. Jako nastolatka też nie miałam o tym pojęcia, a właśnie wtedy wydarzyło się coś, co też nauczyło mnie, że przeszkody są po to, żeby je pokonywać. Miałam 16 lat, kiedy wyjechałam na wymianę licealną do Londynu. To nie był dzisiejszy Londyn z Polakami w każdej knajpie, ale Londyn, który nie śnił jeszcze o Unii Europejskiej. Chciałam zostać na wakacje. Przyjaciel mojego brata miał mi załatwić mieszkanie i pracę. Tu masz gazetę, szukaj – powiedział. I tyle. A ja miałam szesnaście lat, zero pieniędzy, prawie nie mówiłam po angielsku i musiałam się sama utrzymać przez dwa miesiące w wielomilionowej metropolii. O wcześniej-

**„POSTANOWIŁAM:
A WŁAŚNIE,
ŻE NIE BĘDĘ
PŁAKAĆ I ZNAJDĘ
TĘ CHOLERNĄ
PRACĘ.
I ZNALAZŁAM”**

szym powrocie nie było mowy. Rodzicom opowiadałam, że chodzę do szkoły i do muzeów. Tymczasem z mapą w rękę szukałam pracy na czarno. Lał deszcz, mapa mi rozmokła, zgubiłam się i ryczałam z wściekłości i bezsilności. I znów: pamiętam moment, kiedy zgnoiliłam resztki mapy, wyrzuciłam je do kosza i postanowiłam: A właśnie, że nie będę płakać i znajdę tę cholerną pracę! I znalazłam. Zasuwałam przez 7 dni w tygodniu. Tylko w niedzielę szłam do pracy po południu. Kończyłam przed północą, żeby zdążyć na ostatnie metro, z którego przez pół godziny szłam do wynajętego pokoju. Dałam radę. Jeśli wtedy się udało, to teraz też! ◉